

Warszawa, dnia 18 (30) Września 1870 roku.

№ 39. | Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza. | Rok VI.

Obchodzenie się z bronią palną.

,,Kto niedomierzy ten niedowierzy.''
(Stare przysłowie).

Broń palna, czy to jako oręż wojenny, czy jako narzędzie obrony, czy wreszcie jako rynsztunek myśliwski nie powinna nigdy służyć za instrument zabawki, lub igraszki, bo z natury swéj podobną jest do niebezpiecznego zwierzęcia, ugłaskanego na pozór, ale w każdéj chwili gotowego smutne spowodować następstwa, jeżeli choćby na chwilę zapomnieć o jego dzikim i nieubłaganym charakterze; o jego doraźnéj i niepohamowanéj potędze.

Broń palna jest to piorun w miniaturze, tak jak piorun prawdziwy, nieubłagana i straszna. W ogólności zaś, jest to narzędzie śmierci, zatem żadne cacko, którem by igrać było dozwolonem, bo byłaby to igraszka ze zdrowiem i życiem ludzkiem, a zatem lekceważeniem łez i spokojności rodzin, ztąd zaś poniewieraniem praw społeczeństwa.

Wydarcie życia lub zdrowia bliźniemu rozmyślne, jest zbrodnią ściganą przez prawa bardzo słusznie. Jeżeli zaś pozbawienie życia i zdrowia nierozmyślne, prawa karzą łagodniéj, a właściwie karzą za nieostrożność, nie za zbrodnię; to, gdy w skutkach utrata życia lub zdrowia, dla rodzin i społeczeństw, czy to przez zbrodniarza wywołana, czy też przez lekkomyślność lub nieostróżność spowodowana, jest jedną i tąż samą klęską, zatem wobec sumienia, lekkomyślność i nieostrożność takowa, a zbrodnia rozmyślna, niczem się nie różnią od siebie.

Przed zasadzką lub zamachem zbrodniarza, człowiek wystrzega się, ma się na baczności, zaopatruje się w broń odporną, obwarowywa się wrzeciądzami i zamkami, otacza się służbą, czuwa nad jego bezpieczeństwem społeczność, prawo, policja nawet....

Ale któż nas obroni od najlepszych przyjaciół, od osób najbliższych sercu naszemu, jeżeli oni przez lekkomyślność lub nieostróżność, gotowi będą swoje własne i osób otaczających ich życie i zdrowie narażać na zagładę lub szwank każdego momentu?



Antoni Dreher. — (Strona 425.)

Tam, gdzie idzie o tak ważne rzeczy, jak utrata życia lub zdrowia, *lepiéj jest za wiele uczynić* dla zabezpieczenia otaczających kogoś osób i własnego od wszelkich ewentualności, *niż za mało.* Rzadko bardzo w takich razach przychodzi żałować zbytniéj ostróżności, a zawsze żałować potrzeba zaniedbania, a tem bardziéj lekceważenia.

Każdemu zdaje się, że jest dość roztropny, żeby

nie być zdolnym zaszkodzić komuś swojem obejściem się z bronią palną. Każdemu zdaje się, że doskonale wie jak z nią postępować należy w każdem miejscu i okoliczności, żeby ktokolwiek bądź miał powód obawiać się z jego strony jakichś smutnych w skutkach niespodzianek w téj mierze. Każdy z tych, którym zdarzyło się nieszczęście pozbawienia kogoś życia lub skaleczenia przypadkowego z broni palnéj, powtarza: „a któż się mógł tego spodziewać? zdaje mi się żem był ostróżny? któż mógł przewidzieć co się stanie?“ i t. p.

Otóż obowiązkiem i powinnością sumiennego człowieka, spodziewać się i przewidzieć wszystko, co może nastąpić z powodu zaniedbania w takich razach najmniejszych ostróżności.

Nikt z nas, ani nabytem doświadczeniem, ani wprawą, ani wiekiem własnym, nie może zasłaniać się od zachowania tych ostróżności bodajby najbardziéj drobiazgowych i nudnych, w obchodzeniu się z bronią palną, jakich natura broni tego rodzaju bezwarunkowo wymaga. Tam gdzie do spowodowania nieszczęścia dosyć jest momentu, gdzie nic w świecie, żadna moc ludzka skutków odwrócić nie może, gdzie nie ma ani czasu, anj środka ocalenia, nie wolno jest zaniedbywać najmniejszych szczegółów.

Bo gdy przy zachowaniu nawet największych ostrożności, ludziom doświadczonym i dojrzałym, zdarzają się zbyt często wypadki wcale nieprzewidzianego wybuchu broni palnéj, a ztąd i nieszczęść; przeto ostróżności w obchodzeniu się z nią, bodajby posuniętéj do ostatecznych granic, nigdy za zbyteczną poczytywać się nie godzi.

Niedawno czytaliśmy w gazetach wzmiankę o pozbawieniu życia jednego pułkownika przez oficera mu podwładnego, który niepotrzebnie i nieprzezornie próbował rewolwera w jego obecności, a przecież oficer z bronią palną obchodzić się umiał, a cała rzecz, że zdawało się mu iż ów rewolwer był zupełnie nie nabitym, nie był zaś tyle przezornym żeby przekonać się że z sześciu strzałów, jeden był zaopatrzony ładunkiem ostrym, nieszczęście zaś mieć chciało że na tym naboju, próba się odbyła, że w kierunku lufy rewolweru stał pułkownik, że oficer ten tak był pewny, że rewolwer nie nabity, iż bynajmniéj nie zważał na kierunek w jakim go miał próbować.

Także niedawno, były wojskowy, zabił własną żonę z fuzji, która zdawała się mu nienabitą, któréj zachciało mu się probować w mieszkaniu, bez zważania na to, w jakim kierunku trzyma strzelbę, i na to, że w przyległym pokoju do którego lufę zwrócił dla próby, znajdowała się jego żona. A był to także człowiek przyzwyczajony do obchodzenia się z bronią palną.

Obaj ci ludzie przecież spowodowali nieszczęścia, jedynie przez zaniedbanie reguły: żeby nigdy nie probować broni w kierunku horyzontalnym, ale zawsze albo na dół lub do góry lufą, żeby w razie wybuchnięcia niespodzianego strzału, nabój poszedł w ziemię lub w powietrze!

A przecież jest to reguła, którą wpaja się zawsze żakom, skoro im pierwszy raz w życiu daje się fuzja w ręce!

Ani żal najgłębszy, ani rozpacz posunięta do obłąkania, nieszczęścia naprawić, ni cofnąć nie są w stanie.

W przedmiocie więc tak ważnym, bo zależącym od mgnienia oka i od momentu, od chwili tak strasznej w skutkach, i wpajanie reguł, i powtarzanie uwag i przestróg choćby znanych powszechnie, nie tylko nie jest rzeczą zbyteczną, ale potrzebną.

Jeżeli bowiem ani reguły te, uwagi i przestrogi, ani wprawa, doświadczenie i wiek, nie są w stanie w zupełności usunąć nieszczęść tego rodzaju, to o zmniejszenie liczby ich przynajmniéj dbać troskliwie należy.

Skoro zaś nieszczęścia takie, najwięcéj zdarzają się pomiędzy osobami wojskowemi i myśliwcami, zatem ludźmi obowiązkowo najlepiéj nauczonemi obchodzenia się z bronią palną; skoro nieszczęścia te powtarzają się ciągle, widać najoczewiściéj, że ostróżności wymagane w takich razach, bywają pomijane lub zapominane, że zatem potrzeba ciągle o nich przypominać starym czy młodym, i to właśnie jest celem niniejszéj pogadanki.

* * *

Nieszczęścia spowodowane przypadkowemi wystrzałami broni palnéj zdarzają się: albo z nieumiejętnego utrzymywania i zażywania jéj w potrzebie, albo z igraszki ludzi lekkomyślnych, albo z nagłego i niespodzianego trafunku.

W pierwszym razie, nieświadomość sposobu nabijania, miary odpowiedniéj do kalibru broni użytéj amunicji, niewłaściwego trzymania i obracania broni w ręku i t. d.; w drugim bawienie się, igranie i manewra niepotrzebne z bronią, w trzecim nieprzewidziane wypadki, utratę życia lub kalectwo albo pożary, a zatem śmierć i zniszczenie sieją w około.

Otóż powtórzmy prawidła obchodzenia się z bronią palną wedle tego porządku.

Prawidło ogólne.

Broń palna nie jest żadnem cackiem, żadnem świecidłem, ale narzędziem śmierci, nie godzi się więc nią bawić i igrać w żadnym razie, ale należy obchodzić się ostróżnie i poważnie jak z prawdziwym wrogiem, który dopóty tylko nie jest naszym pogromcą, dopóki pamiętamy o tem, że to wróg nieubłagany i jako takiego, na nieustannéj mamy wodzy.

Na poparcie téj prawdy, przytoczymy parę wypadków, które przytrafiły się znajomym nam osobom.

Jeden z naszych kolegów szkolnych, bawiąc na wakacjach u rodziców, wybierając się na polowanie, nabił fuzję zanieczyszczoną, dużym nabojem prochu, a do tego flejtucha nie przybił zupełnie do naboju, a ztąd przy pierwszym strzale lufa rozerwaną została i młodzieniec utracił parę palców u lewéj ręki którą fuzję przy celowaniu podtrzymywał i cudem tylko że życia nie pozbawił się w tym zdarzeniu.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

CZTEREJ ŚWIĘCI GOSPODARZE.

I.

Święty Wojciech.

Już młodem zbożem zieleni niwa,
A matka ziemia woła do pracy,
Słoneczko boże w pole wyzywa,
Hej! hej! do pługa bracia wieśniacy.

Po wzgórzach wabi fijołek wonią,
Jaskółki krążą w około strzechy,
A Święty Wojciech pasterską dłonią,
Spędza bydełko, zatyka wiechy.
O! biedne krówki, trwoga was nęka,
Już teraz dla was pole za blizko,
Od dziś was święta Wojciecha ręka,
Zgania na ugór i na pastwisko.
Tak święty patron z promiennem czołem,
Z miłości blaskiem w poważnéj twarzy,
Wyciąga dłonie swe nad padołem,
I gospodarzy, wciąż gospodarzy.
Nucą za bydłem pastuszki żwawe,
Ciepłe się słonko ziemi uśmiecha,
Bo już nadeszły dzionki łaskawe,
Z przyjściem patrona wiosny: Wojciecha.

II.

Święty Jan Chrzciciel.

Dawno już w gaju słowik nie śpiewa,
Słoneczko żarem ziemi dopieka,
Czerwona wiśnia w sadzie dojrzewa,
Róża się w cudne szaty obleka.
Po miastach, wioskach, ludek wciąż gwarzy,
Największy próżniak teraz nie drzemie,
Bo najczynniejszy wśród gospodarzy,
Święty Jan Chrzciciel nawiedza ziemię.
Cieszmy się, cieszmy, on dla ochłody,
Wpośród upałów ulgi udzieli,
I świętą ręką ochrzci nam wody,
By użyczały zdrowych kąpieli.
Z brzaskiem poranku, do pracy budzi,
Każe się spieszyć z zmianą mieszkania,
Krasi jagody i wiejskich ludzi,
Na kosowicę w łąki wygania.
Kiedy pogoda, to serce skacze,
Bo jest nadzieja pogodnéj pory,
A gdy Jan Chrzciciel deszczem zapłacze,
Przepadło siano, przemokną zbiory.

III.

Święty Michał.

Już plon zbożowy z pola sprzątnięty,
Lud wiejski syty, dziękuje Bogu,
Z rozpiętem skrzydłem gospodarz święty,
Michał Archanioł już u nas w progu.
I woła: daléj! hejże ludziska,
Kopać ziemniaki, pospieszać z siewem,
Polepiać chaty, bo zima bliska,
Niechże was zdybie z chlebem i drzewem.
Wiejskie dzieciaki nuże do lasu,
Grzybów tam dosyć, zbierać je macie!
Toć przecie dobrze gdy swego czasu,
Postny przysmaczek znajdzie się w chacie.
Wszędzie gospodarz zajrzy skrzydlaty,
Żadnego kątka ziemi nie mija,
A opatrzywszy gumna i chaty,
Z błogosławieństwem w niebo się wzbija.

IV.

Święty Szczepan.

Śnieg nam zasypał pola i grzędy,
Już i gościńca dopatrzeć trudno,
Wieś się rozlega pieśnią kolędy,
A w karczmie rześko, gwarno i ludno.
Wiejska czeladka wolna od troski,
Z ochoczem licem zawodzi tany,
Bo Święty Szczepan wśród każdéj wioski,
Wszystkie dziś sługi przemienia w pany.
Święty gospodarz wiejskiéj czeladzi,
Wśród białych śniegów, zimowéj grudy,
O losach wioski miłośnie radzi,
Nadzieją zysku osładza trudy.
I gdy dzień cały w świecie przebawi,
Nie da już krzywdy zrobić nikomu,
I świętą ręką pobłogosławi,
Na prace w polu, zachody w domu.

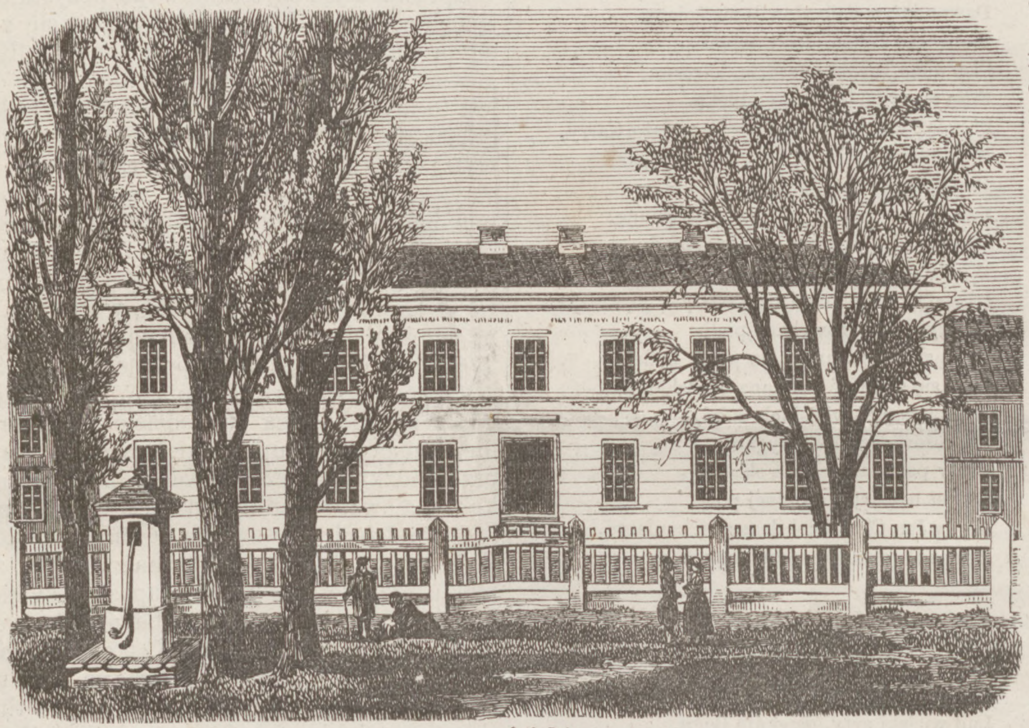
Emilja Leja.

Marymont i jego okolice.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 38).

Oprowadzając czytelników po wszystkich zajmujących okolicach Marymontu, udamy się z nimi daléj na Kaskadę. Kaskada, położona o kilkaset kroków od Marymontu przy zwirowéj drodze do Bielan, jest to urocza dolina wśród dębowego lasku rozciągająca się, z któréj z pod wzgórz lasem pokrytych wytryska kilka źródeł krynicznéj wody i formuje stawek, a z niego wypływa rączo płynącym strumieniem, spadającym z kamienistego urwiska na niżéj położoną łąkę, w kształcie niewielkiego wodospadu. Na froncie téj doliny stoi gustownie zbudowany dom zajęty przez zakład, w którym podniecone przejażdżką czy przechadzką pragnienie i apetymogą znaleźć należyte zaspokojenie nawet dla najdelikatniejszego podniebienia. Wśród letnich dni pot godnych, zwłaszcza w niedziele i święta, mogłeś nieraz spotykać tłumy Warszawian używające miléj przechadzki po ścieżkach Kaskadzkiéj doliny; w piękne majowe poranki widziałeś grupy mężczyzn, kobiet i dzieci, spieszących na majówkę do dębowego lasku, gdzie rozłożywszy na zielonym ziemi kobiercu przyniesione z sobą zapasy pożywienia, pokrzepiali swe znużone siły, bawiąc się wesołą rozmową. W Zielone Świątki, Kaskada w prawdziwem oblężeniu, tędy bowiem droga na Bielany, gdzie dąży cała Warszawa. Spieszysz i ty za tłumem pociąganym jakby magnetyczną siłą, siłą obyczaju, co zrobił z przejażdżki na Bielany pochód tryumfalny karet, powozów, dorożek, jeźdźców konnych i pieszych mieszkańców miasta, tworzących jakby wstęgę różnobarwną, złożoną z istot ludzkich, przybranych w najstrojniejsze szaty, któréj początek przy Bielańskim kościele, a koniec ginie wśród murów Warszawy. Przyjeżdżasz do Bielan, a tam ruch i gwar, którego opisać niepodobna; ta wstęga, ta rzeka istot ludzkich płynąca od Warszawy, znajduje tutaj zaporę, rozlewa się coraz szerzéj i szerzéj, bałwani się falami, wre i huczy, jak morze u stóp granitowéj skały, a wyczerpawszy swe siły w pustych igraszkach, pod wpływem zachodzącego słońca, zwraca swój pochód znów w tę stronę, zkąd wzięła swój początek: noc rozpostarła swe cienie i znowu cisza zaległa Bielany. Cisza, bo spokój grobowy, to cecha zwykła Bielańskiego lasku i Bielańskiego przy kościele ustronia; przybywasz tu w kilka dni późniéj w gronie kolegów z professorem Jastrzębowskim na wycieczkę botaniczną, wbiegasz na wzgórze i spostrzegasz śród muru opasującego ogrody,

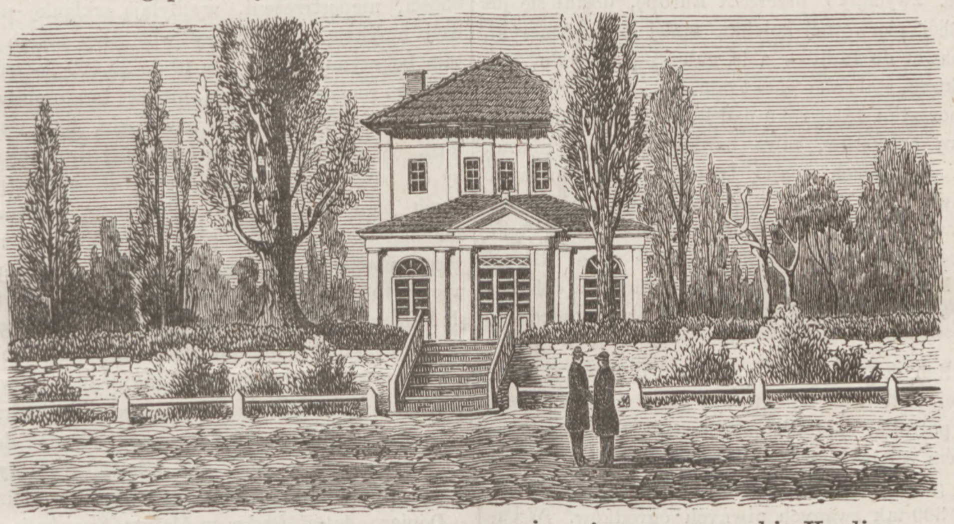
wspaniałe wieże kościoła, to klasztor XX. Kamedułów, obok niego kilkanaście małych murowanych domków, otoczonych każdy ogródkiem, to mieszkania zakonników, żyjących samotnie, to jakby katakumby ludzi pochowanych za życia do grobów. Na cmentarzu kościelnym wspaniały platan rozpościera swe rozłożyste konary i zachęca cię swym cieniem do spoczynku, zrywasz zeń gałązkę z liśćmi do swojéj puszki na rośliny i owoc nie dojrzewający w naszym klimacie; siadasz na murawie, przyglądasz się murom Bożéj świątyni i spostrzegasz na ścianie o łamanéj płaszczyznie różne linje geometryczne zbiegające się w jednym środku: to kompas nakreślony ręką professora Jastrzębowskiego (przy pomocy narzędzia jego pomysłu zwanego „Kompas Polski), co zmusza słońce mierzyć czas na godziny i posługiwać ludziom do rozdziału ich codziennych zatrudnień. Tak ci tu błogo wśród téj ciszy zakonnéj, że radbyś tu zostać na długo, spokojna siedziba tych, których usposobienie ducha lub burze żywota zapędziły w to ustronie, pociąga cię swym urokiem na chwilę, lecz nie, duch młodzieńczy w tobie wre jeszcze, bezczynność cię nudzi, natura pcha do działania do życia; obejrzałeś kościół po wierzchu i z wewnątrz i zbierasz się w dalszą wycieczkę. Głębia lasu ciągnie cię do siebie, jeszcze mało roślin zebrałeś, może wśród lasu są inne, za danym hasłem przez professora wybiegasz z dziedzińca i spieszysz nad Wisłę. Nowa a urocza okolica, nowe widoki i nowa roślinność, tam był spokój poważny, półmartwy, tu ruch i życie: woda pluska falami o brzegi, rybak mknie się na łódce z obfitym połowem, daléj flisy wiosłują na tratwach, nawołując w takt wiosłem jednotonnie, a w oddali za nimi warczą koła, dym bucha i na skrzydłach rozpryskujących wód fale od brzega do brzega, sunie się żwawo statek parowy, przed którym jak wróble przed jastrzębiem uciekają czółna rybackie do brzegów. W dolinie Wisły spostrzegasz gaj wierzb i topoli pasem rozciągnięty nad brzegiem, tam cię professor twój wiedzie dla okazania ci różnych gatunków i odmian tych rodzajów drzew, napełniłeś już swoją puszkę ich okazami, spieszysz więc daléj. Droga piaszczysta i nużąca, sił zdaje się zaczyna brakować; tak zdaje się, bo professor zachęca do piosenki, zaśpiewasz sobie z kolegami chórem i nie wiesz jak długo szedłeś do Młocin. Zmęczone milową przechadzką siły domagają się spoczynku i pokrzepienia, szanowny professor uwzględnia tę potrzebę ludzkiéj natury i daje czas do zaspokojenia pragnienia i głodu w tamecznéj oberży, po załatwieniu czego, uporządkowawszy znalezione okazy roślin i objaśniwszy się od professora o ich nazwach i znaczeniu w botanicznym systemie, wyruszasz z powrotem przez Wawrzyszew. Folwark ten należy do klucza dóbr Marymonckich i jest polem praktyki dla uczniów szkoły wiejskiéj tam istniejącéj, pod kierunkiem oddzielnego Inspektora. Pod względem botanicznym i estetyczym nie przedstawia on nic ciekawego, po chwilowym więc spoczynku dążysz daléj ku Marymontowi przez obszerne odłogi piaszczyste, poznawszy zaś na nich rośliny lubiące rosnąć na lekko piaszczystych gruntach, dochodzisz do szosy, przy któréj znajduje się ogromny murowany budynek, młyn wodny zwany Słodowcem. Ciekawość nie pozwala pominąć tego młyna bez obejrzenia; zaspokojona zaś, jest zupełnie widokiem wybornego urządzenia mechanicznego, które zużytkowywa siłę biegu niewielkiego strumyka na obrót za pomocą wielkiego koła nasiebiernego, kilku kamieni młyńskich i wykonywanie wszelkich czynności mechanicznych przy wyrobie mąki. Zwiedziwszy tedy Słodowiec powracasz znowu do Marymontu, strudzony cokolwiek podróżą, lecz zadowolniony, ożywiony świeżem powietrzem i świeżemi myślami, zachwycony uroczemi wodokami natury i mądrym wykładem jéj objawów przez głębokiego jéj badacza twego professora, z gorącem marzeniem o powtórnéj wycieczce, projektowanéj znów niezadługo. Bo czyż może być co przyjemniejszego dla młodzieńca poświęcającego się nauce rolnictwa, a chciwego wiedzy i wrażeń, jak wycieczka botaniczna pod kierunkiem takiego znawcy przyrody jak professor Jastrzębowski! Co krok spotykasz nowe rośliny, obudzające twoją ciekawość; każda dolina, pagórek, łąka czy pole, ogród czy las, jednem słowem każdy kawałek ziemi pokryty inną roślinnością właściwą składowi, położeniu, wilgo-



Gmach b. Instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Marymoncie.

tności lub ocienieniu gruntu. Nazbierałeś już pełną puszkę roślin, a tu jeszcze spotykasz nowe, nieznane, coraz to ciekawsze i spostrzegasz w roślinnéj przyrodzie rozmaitość nieskończoną. Zdaje ci się z początku, że umysł twój nie jest w stanie objąć téj bezładnéj na pozór różnorodności organizacji, wzrostu, kształtów, barw, woni i tylu innych szczegółów, które przedstawiają rośliny. A jednak, gdy podczas odpoczynku professor zacznie cię objaśniać o nazwach, o formach liści, łodyg, korzeni, kwiatów i nasion roślin— i wytłómaczy ci znaczenie każdéj roślinki w szczególe i w ogólnym systemacie roślinnéj przyrody, wtedy zrozumiesz, iż w téj nieskończonéj różnorodności natury są pewne prawa stałe, pewien systematyczny porządek i mądry układ podług niezmiennych zasad, nadany stworzeniu przez Mądrość Najwyższą, rządzącą wszechświatem. Poznasz, iż najdrobniejsza trawka, źdźbło porostu zaledwie dostrzegalne okiem, wszystko ma swój cel w ogólnem dziele stworzenia, wszystko ma zapewniony byt i związane jest zgodnie wzajem w swem istnieniu według praw téj Mądrości, któréj wielkość w najmniejszéj nawet rzeczy dopatrzeć możemy. W umysł twój wnika promień światła, zaczynasz pojmować naturę i jéj prawa, widzisz że wszystkiemu Stwórca nadał pewne przeznaczenie, do którego ono dąży zgodnie z Jego wolą, że zatem i ty jako człowiek, jesteś w tym porządku natury istotą, która do celów Bożych przyczyniać się winna.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).



Pałacyk Królowéj Marji w Marymoncie, mieszczący w sobie Kaplicę, obok niego ogród botaniczny.

ANTONI DREHER

I PIWO BAWARSKIE.

Gdyby nie było wyraźną wolą dobroczynnéj i mądréj natury, aby człowiek zaspokajał swoje pragnienia nietylko wodą i winem, nie mielibyśmy z jęczmienia i chmielu tak wybornego, zdrowego i zarazem przyjemnego napoju, rozweselającego serce, które szumiąc, połyskuje swoją złotą barwą i sprawia na widzu bardzo miłe wrażenie.

U starych już Egipcjan widzimy napój wyrabiamy z pszenicy albo jęczmienia, napój odurzający — a Herodot który nam to opowiada, nazywa ten napój pszenicznem lub jęczmiennem winem. Następnie dodawano do tego napoju rozmaite rośliny dla obudzenia fermentacji i nadania mu lepszego smaku. Grecy również wyrabiali pewien uradzaj soku jęczmiennego, którego jednak używali, nie jako napoju, ale jako środek do różnych celów technicznych. Egipskie pszeniczne i jęczmienne wino, przeniosło się do Rzymu, którego tam oprócz właściwego wina, do ochłody używano.

Właściwa dopiero historja piwa, poczyna się z chwilą ukazania się na scenie świata, gwałtownéj potęgi Germanów. W zimnych i dzikich lasach Germanji, gdzie przez długie wieki, nie mogło się wino udawać, używać musiano spirytualnego napoju, a nawet Tacyt, rzymski historyk utrzymuje: iż Germanowie odurzającego napoju z jęczmienia używali. Długie upłynęły wieki, nim w dzikim i nieurodzajnym kraju, można było chmiel uprawiać. Pierwszą wiadomość o chmielu, — mamy w dyplomacie frankońskiego Króla Pepina z r. 768, w którym znajduje się wzmianka o chmielnikach. W kapitularzach Karola W-go, nie napotykamy o chmielu żadnego śladu, choć na licznych folwarkach jego wyrabiali piwo, tak zwani *braceatores* t. j. słodownicy. W piśmie Ś-tej Hildegardy, Ksieni w Rupertsburgu nad Renem, w r. 1079 zmarłéj, znów o chmielu znajdujemy wzmiankę. W XI wieku uprawiano wiele chmielu w Czechach i Magdeburgu, a w wieku XIII był chmiel artykułem wywozowego handlu. W końcu XIV-go i początku XV-go wieku, uprawa jego upowszechniła się szczególniéj wpółnocnych Niemczech, Czechach, Bawarji i Anglji. Dowiadujemy się także iż w X-m wieku po Chrystusie, w Münster wyrabiano piwo z owsa. W Norymberdze (r. 1290) nie wolno było z czego innego prócz z jęczmienia wyrabiać piwa, a w Augsburgu z czego innego prócz z owsa.

W średnich wiekach wyrabianiem piwa zajmowały się kobiety — a dobre gotować piwo, było wielką cnotą u kobiet. Na północy choćby i Królowa, stała przy kotle i warzyła piwo. Oddzielny stan piwowarski mógł jedynie w wielkich miastach zakwitnąć. Piwo ówczesne, było tylko prostym napojem, nie tylko w Niemczech i Niderlandach, ale także i w północnéj Francji aż do Paryża. W XVI-m wieku fabrykacja piwa, uczyniła ogromne postępy. Występuje wiele miast na scenę, które się zajmują warzeniem piwa pod różnemi nazwiskami. Warzono podówczas nadzwyczajnie mocne piwa, barwy brunatnéj, ale także wyrabiano i białe, osobliwie w Hanowerskiém. Znane czytelnikom piwa: *Bock* i *Lagerbier* (piwo kozłowe i wystałe), już wyrabiano podówczas.

W r. 1575 pojawiła się w Erfurcie książka pod tytułem: „Pięć ksiąg o boskim i szlachetnym, filozoficznym, wysokocennym i cudownym sposobie gotowania piwa, przez p. Knausten, obojga praw Doktora". Książka ta opisuje prawie wszystkie ówczesne piwa i przedstawia ich własności. Hamburgskie piwo nazywa Królową piw pszennych; Gdańskie, królową jęczmiennych i żytnich; potem idą piwa: Lubekskie, Bremeńskie, Elbląskie, Stralsundzkie, Szczecińskie i inne.

Im więcéj zbliżamy się do naszych czasów, spostrzegamy coraz to większe postępy i udoskonalenia w sztuce piwowarskiéj. Udoskonalono suszenie i śrótowanie słodu, przez wprowadzenie odpowiednich lasów i młynków żelaznych an-

gielskich. Widzimy w wielkich browarach, nadzwyczaj dobre urządzenia i sprzęty do zacierania słodu przy pomocy gorącéj wody, do czego Anglicy pierwsi zaprowadzili maszyny parowe, mięszadła, chłodnice i t. p.

Pomiędzy piwami, jakie nam średnie wieki przekazały, dwa tylko nad innemi odniosły zwycięztwo, mianowicie: *porter* i *bawarskie piwo*. Porter wynaleziony został w Londynie r. 1730 przez piwowara Harwood'a, w browarze, w którym poprzednio wyrabiano: *Ale piwo* i *Twopenny*. Porter miał wszystkie przymioty i własności powyższych piw posiadać. Nazwisko ,,porter" ztąd pochodzi, iż piwo to z powodu swojéj pożywności i mocy, przeznaczone było przez wynalazcę jedynie dla tragarzy, czyli ludzi noszących ciężary. Wynalazek ten, jak widzimy, chybił swojego celu, gdyż dzisiaj nie piją go tragarze, ale ludzie majętni, którzy po większéj części żadnych ani moralnych ani fizycznych nie dźwigają ciężarów!

Z pomocą wynalazków—których nasz wiek ma daleko więcéj, aniżeli wszystkie czasy za nami będące—przemysł cywilizowanych krajów, przybrał nadzwyczajne rozmiary. Nowe jego gałęzie zaprowadzono, a stare rozszerzono i udokładniono. Pomiędzy temi ostatniemi, jeden z produktów można powiedzieć, zwycięzko przeszedł Europę, dostał się już do Egiptu swojéj pierwotnéj kolebki, małéj Azyi, Ameryki, Australji, a nawet do Indji — a tą gałęzią przemysłu, tym nowym produktem, stało się: *piwo bawarskie*.

Jeszcze na początku 1830 roku nad Renem, zaledwie znajdowało się parę browarów, piwa bardzo mało tam pijano. W północnych Niemczech znano tylko złe, bardzo łatwo kwaśniejące piwo. We Francji również bardzo mało pijano piwa i to jeszcze nędznego; we Włoszech żadnego nie było. U nas w Polsce podówczas pijano zwyczajne piwo, którem się Redaktor Momusa i jego przyjaciele serdecznie delektowali, a którego dotąd adepci Gambrinusa, zapomnieć nie mogą.

Dzisiaj nad Renem piją taką samą ilość piwa co i wina. Dzięki Zollvereinowi, wskutek którego cena wina podwoiła się a nawet i potroiła: całe Niemcy, Francja i Austrya, piwem bawarskiém zalane zostały. W samym Berlinie zniknęło 1000 knajp gorzałczanych, a w ich miejsce powstały piwiarnie i około 300 tak zwanych piwnych ogródków. W Paryżu piją teraz więcéj piwa aniżeli wina. W Chambery, w Sabaudji, tak dobre piwo białe wyrabiają jak i w Farnbach w Bawarji; a w Aosta we Włoszech tak dobre jak w Monachium, zkąd prowadzą je do górnych Włoch — tak, że dzisiaj w Turynie i Medyolanie piją tyle piwa co w Niemczech. W Polsce i Rossji piwo podkopuje fundamenta pod gorzałką; Hollandja, Danija i Szwecja, przez piwo bawarskie, mniéj lub więcéj zdobytemi zostały. W Belgji głównie używane jako napój codzienny zamiast wody, są następujące gatunki piwa: Faro, Louvain i Dist, z których Faro używane najwięcéj w Bruxeli, odznacza się oryginalnym smakiem swoim. Z powodu braku wody zdatnéj do picia, mieszkańcy używają go za napój gaszący pragnienie. Nie wzwyczajonemu wydaje się początkowo kwaśne, nieprzyjemne, a nawet odrażające, — a następnie do tego stopnia przyzwyczaić się do niego można, że staje się potrzebą a nawet koniecznością. Zaletą jego, że jest tanie i zdrowe. Piwo bawarskie, dla Angielskiego, nawet w zamorskich krajach, stało się niebezpiecznym rywalem: albowiem z powodu wybornego chmielu, znakomite piwa Mnichowskie, Kobugskie, Norymbergskie i Wiedeńskie, są dzisiaj przedmiotem wywozu do wszystkich portów — a nie dawno nawet, znalazły wielkie źródło odbytu w Turcji i Egipcie, gdzie Koran zabrania użycia wina. W Ameryce północnéj jeszcze przed 10-ciu laty na wszystkich stołach widziałeś angielskie *Ale*, albo *Strong-beer* (mocne piwo), — ale teraz piwo bawarskie, tak zwane Lagerbier, zastąpiło go wszędzie; a wiele browarów, które dawniéj *Ale* i porter wyrabiały, dzisiaj wyrabiają Lagerbier.

Piwo, jak i wszystkie nowości, przeszło w Ameryce swój perjod męczeński. Amerykanin wyśmiewa wszystko, cokolwiek po raz pierwszy ujrzy, je lub pije. Tak samo było z piwem bawarskiém, kwaśną kapustą i brodami, z któremi to ostatniemi, długo amerykanie oswoić się nie mogli, choć srodze nienawidzili swych golonych, europejskich współbraci. Dzisiaj pije Amerykanin to wyśmiane piwo z pewnym rodzajem wdzięczności, bo ono go uwolniło, od zapijania się wódką. Nawet Amerykanki smakują bardzo w ,,Lagerbeer" choć nie dawno jeszcze odrazą przejmował ich ten napój. Ale najlepiéj mają się tam piwowarzy, którzy corocznie powiększają swoje browary, a Lagerbeeru nie mogą nastarczyć robić. Z powodu niezmiernego cła nałożonego na Whisky (gorzałka w Szkocji), równającego się zakazowi, Irlandczycy pociągnięci także zostali do piwa, którzy dawniéj wódce hołdowali.

Z przyczyny własności amerykańskiego klimatu, piwo bawarskie dla tamtejszéj ludności, jest prawdziwém dobrodziejstwem. Nawet ci, którzy utrzymują, że człowiek tylko wodę pić powinien, już w części pogodzili się z piwem: w cichości, niepostrzeżeni, wychylają szklankę piwa i czemprędzéj umykają. Piwowarzy więc przy takich stosunkach, są tam bogatymi ludźmi — a 10 do 20,000 dolarów (24,000 rs.) czystego rocznego dochodu, nie jest tam osobliwością!

Aż do roku 1846 piwo bawarskie, było jasno-złotego koloru. Skutkiem jednakże ówczesnéj drożyzny i wysokiéj taksy od bawarskiego piwa nałożonéj, a następnie, w skutek złych jego przymiotów, wstrzymaną została na czas jakiś znakomicie konsumcja piwa. Publiczność niemiecka niechcąc płacić więcéj, żądała jednak zawsze piwa mocnego; wtedy to piwowarzy wpadli na dowcipny środek, robiąc słód ciemniejszym, przez co piwo nabyło pozoru silniéj słodzonego a zatem mocnego, choć ta zmiana koloru poszła na koszt dobrego smaku i gaszenia pragnienia, tych ważnych w piwie przymiotów. Piwowarzy tak uporczywie, uchwycili się owego sposobu, iż jakkolwiek przyszły dla nich dobre czasy, już go porzucić nie chcieli. W Wirtembergu tylko i Badeńskiem, nie udało się tego fałszowania wprowadzić.

Dopiero *Antoni Dreher* w Małym *Szwechacie* pod Wiedniem w wiosce pamiętnéj spotkaniem się Jana Sobieskiego z Cesarzem Leopoldem po odsieczy Wiednia, położył stanowcze veto, przeciwko temu fałszowaniu bawarskiego piwa, wracając do pierwotnéj jasno-złotéj barwy, to jest do lekko-suszonego słodu, jak przy angielskiem *Ale*, co mógł uskutecznić jedynie przez olbrzymie urządzenia i wszelkiego rodzaju ulepszenia, jakie w Szwechat zaprowadził, a tym sposobem swoich bawarskich współkolegów zmusił, iż do dawnego piwa wrócili.

Browar w małym Szwechacie, którego początek sięga r. 1632, zawdzięcza swoją sławę największego browaru na stałym lądzie Antoniemu Dreherowi, urodzonemu 10 Czerwca 1810 r. a zmarłemu 27 Grudnia 1863. Ojciec jego rodem Badeńczyk, przybył do Wiednia całkiem nie zamożny, a dzierżawiąc liczne browary, dorobił się znakomitego majątku, który przy swojej śmierci (1820) synowi Antoniemu zostawił; było więc bardzo naturalném, że syn temu samemu poświęcił się zawodowi.

Po ukończeniu studjów w komitecie Pijarskim, na przedmieściu Josefstadt w Wiedniu, gdzie Antoni szczególne upodobanie okazywał do starych klassyków, oddał się z całym zapałem praktyce piwowarskiéj u znakomitego podówczas piwowara Meich'a w Simmeringu.

Jakkolwiek obeznał się tutaj ze wszystkiemi szczegółami processu i manipulacji piwowarskiéj, nie ukrywał jednak jeszcze przed sobą, iż mu do doskonałości bardzo wiele bra-

kowało. Postanowił przeto, luki swoich wiadomości uzupełnić podróżami i obejrzeniem innych zagranicznych browarów.

Po szczęśliwém usunięciu wszelkich trudności, jakie się przy regulowaniu spadku nastręczyły, przedsięwziął w r. 1832 podróż ze swoim przyjacielem z München Gabryelem Sedlmayer, która mu nastręczyła sposobność widzenia największych browarów w Niemczech i Anglii.

Wróciwszy do kraju po 4-ro letniéj nieobecności, wziął w dzierżawę browar od swéj matki 1 Kwietnia 1836 (w sam wielki piątek, który to dzień zawsze w swojem życiu do najważniejszych czynności używał), ale ożeniwszy się wkrótce, browar ten na swoją wyłączną własność nabył.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Skąpiec, komedja Molièr'a, tłómaczona na język polski przez Józefa Narzymskiego.

Zaledwie dzisiaj jesteśmy w stanie dać recenzję ze „Skąpca“ Molièr'a, komedji, która miesiąc temu na nowo, ukazała się na tutejszéj scenie. Mówimy *na nowo*, ponieważ Molièr w nie tak znowu bardzo dalekiéj przeszłości, produkował się na scenach Warszawskich, jeżeli się nie mylimy, jeszcze za dyrekcji J. S. Jasińskiego, a chociaż ani jeden z występujących dzisiaj w téj komedji artystów, nie brał, o ile wiemy, udziału w poprzednich przedstawieniach, grunt wszakże był już dla nich znakomicie przygotowany, bo pozostały żywe tradycje, któremi się dzisiejsze przedstawienie, w znacznéj części, posiłkować mogło.

Musimy tu zrobić wzmiankę, że jakkolwiek Molièr w literaturze dramatycznéj, znakomite zajmuje stanowisko, dzieła jego wszakże, w dzisiejszych czasach, posiadają względną wartość. Ze stanowiska epoki, w któréj były pisane, są to niezawodnie, po większéj części arcydzieła, ale w stosunku do dzisiejszych czasów, noszą na sobie piętno anachronizmu, jeżeli nie wszędzie pod względem charakterystyki, to prawie wszędzie pod względem sytuacji, i sposobu układu sztuki. Dla tego też, według naszego zdania, dzieła Molièr'a, powinny być dzisiaj przedstawiane, z całem sumiennem zastosowaniem tych wszystkich szczegółów i właściwości, jakie tradycja sceniczna, do dzisiejszego dnia dochowała, wszelkie zaś nowatorstwa pod tym względem i traktowanie przedstawienia takich starych arcydzieł na dzisiejszy sposób, jest tak dalece niewłaściwe, że dziełu, bardzo zaszkodzić może... Tak właśnie pojmują artyści i dyrekcja *francuzkiego teatru* w Paryżu, gdzie pod względem przedstawienia, trzymają się z całą ścisłością tych wszystkich szczegółów, które się przechowały od tego czasu, kiedy jeszcze sam Molièr, na scenie występował. Taka sama zresztą metoda zastosowana jest *w teatrze francuzkim*, do wszystkich dzieł dramatycznych owych mistrzów, którzy ukazują się na scenie tego teatru, nie tyle dla zachwycenia widzów, ile dla pokazania, że byli genjuszami swojego wieku...

Przedstawienie „Skąpca“ u nas, wyznać musimy szczerze, nie koniecznie wypadło dobrze, nie dla tego, żeby siły były za słabe, bo tutejsze towarzystwo artystów dramatycznych, rywalizować może o lepsze, z każdym pierwszorzędnym teatrem w Europie, ale właśnie z téj przyczyny, że zamiast trzymać się tradycji, całość przedstawienia pokostowana była nowoczesną manjerą, co w żaden sposób korzystnie oddziałać nie mogło... Ztąd to właśnie wynikła jakaś artystyczna połowiczność, jakaś mieszanina tego, co się z sobą nigdy, jak się należy pomieszać nie może; a niewłaściwość ta panowała od początku do końca, bo niestósownem pojęciem charakteru historycznego całéj sztuki, cały spektakl zwichnięty być musiał...

Z tego punktu zapatrywania się, robimy zarzut wszystkim artystom występującym w „Skąpcu,“ wyjąwszy może jednego pana Chomińskiego, który widocznie patrzał własnemi oczami na dawne przedstawienie u nas téj sztuki, a może i sam brał w niem udział. Dla tego to właśnie powodu, nie będziemy szczegółowo rozbierać gry każdego artysty, zaznaczając jedynie ogólny błąd wszystkich we względzie historycznego pojęcia całéj komedji Molièr'a. Pod innym względem niemamy nic do zarzucenia i gdyby nie chęć, któréj sobie wytłómaczyć nie możemy, usiłowania zrobić czegoś nieokreślonego z tego, co jest bardzo określone, to całe przedstawienie wypadłoby bardzo pomyślnie, a tak, nawet przy wysokiéj skali talentu jakim jest obdarzony, myślący zawsze artysta p. Rapacki, przedstawienie „Skąpca“ nieodpowiedziało warunkom poważnéj literacko-artystycznéj krytyki. Można się jeszcze chyba tem pocieszyć, że w ogólności, dzieła starych mistrzów francuzkich, jeden tylko *Theâtre français* w Paryżu, traktuje poważnie, inne zaś teatra wcale już ich nawet nie przedstawiają, nie chcąc odgrzebywać pleśni...

„Skąpiec“ Molièr'a jest właściwie jedyną figurą w komedji, około któréj obracają się wszyscy, dla tego właśnie, żeby w stosunkach z nimi uwydatnił się cały charakter skąpca. Molièr całą swoją uwagę skierował na jedną osobistość, inne traktował już jako akcessorja. Skąpiec miał tu być uosobieniem skąpstwa, autor chciał w téj postaci, przedstawić twarz skąpca, mającą streszczać w sobie ogólny charakter téj ludzkiéj namiętności. Ale naturalnie sposób zapatrywania się na człowieka, musiał również być oparty na zasadzie ówczesnych pojęć, tak pod względem społeczno rodzinnym, jak i pod względem psychologicznym. Dla tego to nie jeden szczegół w expozycji charakteru skąpca, razić musi swoją jaskrawością dzisiejszego widza, bo Molièr pisał wówczas, kiedy ludzkie namiętności z natury ustroju społecznego, rysowały się wyraźniéj i wybuchały w gwałtowniejszych formach, człowiek wówczas pod względem dodatnim i ujemnym, był samodzielniejszą jednostką, dziś namiętności ludzkie, przyobleczone są ogólną szatą konwencjonalizmu, palą się wprawdzie równie silnie, ale to pewna, że na zewnątrz objawiają się, jeżeli nie umiarkowaniéj, to niezawodnie inaczéj.

Treść komedij, uważamy za stosowne pominąć, raz dla tego, że jest ona znana prawie każdemu mniéj lub więcéj wykształconemu człowiekowi, a znowu dla tych, którzy jéj nie znają, nie może być ciekawą, gdyż ani zawikłaniem, ani szczególną akcją, nie odznacza się. Wysoka wartość téj komedjij, jakeśmy już wyżéj powiedzieli, leży w jéj literacko-historycznym charakterze i przeważnie z tego punktu, każdy się na nią zapatrywać powinien, tak ci co patrzą, jak i ci, którzy na siebie patrzeć każą.

M. Dzikowski.

Wiadomosci Techniczne.

— **Odróżnienie żelaza od stali.** Puszcza się pałeczką szklanną na przedmiot rozpoznawany kroplę kwasu azotnego (Salpetersaure, 24 Beaume'go) przytrzymuje się ją pół minuty, a potem opłukuje wodą, miejsce wygryzione będzie na stali czarne, na żelazie zaś białawo-szare.

ROZMAITOŚCI.

— **Spółka przemysłowa w Radomiu,** O. W mieście Radomiu p. Rogojski niedawno utworzył spółkę przemysłową której godłem jest: ,,Viribus unitis prorsum;" (połączonemi siłami naprzód), zadaniem téj spółki jest korzystanie techniczne z surowych płodów gubernji Radomskiéj. Pierwszy oddział spółki Viribus, zajął się spożytkowaniem, kości tłuszczów, i t. p. materjałów, na niektóre wyroby drobne w gospodarstwie używane, jak to: szuwaks, atramenty, pomady do włosów, pomadę gubiącą piegi, farbkę do bielizny, laki do pieczętowania i smary do wozów i machin. Drugi oddział tworzy się obecnie i zamierza czyścić Radom aparatem Bergera, dla przerobienia wszelkich odpadków miejskich na nawozy handlowe, szczególnie kompost saletrowy naśladujący Villa, nawóz zupełny. Dalszym zamiarem tego oddziału jest założenie na gruncie dzierżawnym ogrodu handlowego, dla uprawy na sprzedaż doborowych gatunków roślin rolniczych, oraz hodowli celnych zwierząt rozpłodowych. Inny oddział spółki Viribus probuje różnych materjałów cementowych, celem produkowania tanich artykułów budowlanych mianowicie betonów ulepszonych, zastępujących cegły i wapno. Oprócz tego spółka zamierza przy sposobności o utworzeniu oddziału do oświetlania miast tamecznych gazem, założenia smolarni, przeróbki torfu na węgiel, naftę, benzynę, parafin i smary.

Spółka trzyma się metody doświadczonéj, raz dla wyprobowania sił swoich naukowych i materjalnych, oraz jakości surowych płodów branych pod próbę — jako też dla okazania nieświadowym i wątpiącym potęgi produkucyjnéj, jaką z tych płodów przy umiejętném z niemi obchodzeniu się, osiągnąć można.

Z przyjemnością i chlubą zaznaczając tu objawy życia przemysłowego, które spółka Viribus w Rodomskiém okazuje, nie możemy oprzeć się chęci wynurzenia nadziei, że mieszkańcy tameczni potrafią ocenić doniosłość téj chwalebnéj instytucji, a mieszkańcy innych prowincji, postarają się pójść w ich ślady. Ogromne bogactwa drzemiące w rozległych pokładach torfowych w Augustowskiém, mamy tu przedewszystkiém na myśli.

HUMORESKA.



(Wejście na wystawę).

— Którędy można wejść na wystawę.

— Po błocie Panie Dobrodzieju.

— **Obchodzenie się z końmi.** Przed niedawnym czasem, w Alejach około dworca kolei żelaznéj Warszawsko — Wiedeńskiéj, byliśmy świadkami ciekawego zdarzenia, dowodzącego wysokiéj zmyślności zwierząt, wywołanéj łagodnem i rozsądnem obchodzeniem się z niemi. Ogromny wóz, zaprzężony w parę wielkich, tak zwanych Meklemburgskich, pociągowych koni, ładowano blachami i sztabami żelaza. Po ułożeniu takowych furman wydał zwykły swój okrzyk, zachęcający konie do pracy. Jednakże pomimo szczerych widocznych wysileń, ruszyć z miejsca nie mogły. Wóz był przeładowany. Woznica zawsze bez pomocy bata, którego nasi furmani tak często bezpotrzebnie używają, głosem tylko ponowił swoje wezwania; konie jeszcze raz spróbowały ruszyć, ale i to wysilenie ich było bezskuteczne, wóz stał na miejscu jak przykuty. Dalsze wołania woznicy na nic się już nie przydały, bo konie stały jak najspokojniéj, oglądając się tylko każdy ze swéj strony na wóz, ale nie probując go nawet pociągnąć. Po krótkiéj naradzie z obecnymi robotnikami, woznica z ich pomocą ujął z woza część ładunku. Oba konie ciągle z widocznem zajęciem oglądały się po za siebie, a widząc że im ładunku ulżono, na pierwsze wezwanie swego przewodnika, ruszyły z miejsca i swoim spokojnym, poważnym krokiem, pociągnęły ciężar w głąb miasta.

Większość naszych furmanów powinnaby z tego faktu przekonać się, do czego to prowadzi dobre obchodzenie się z pracującem zwierzęciem, które rozumnie prowadzone, umie niemal powiedzieć swemu przewodnikowi, kiedy praca jaką nań nałożono przechodzi jego siły. Konie te znane są każdemu niemal mieszkańcowi Warszawy, bo spotykamy je codziennie na rozmaitych ulicach miasta, zawsze ogromne przewożące ciężary, a zawsze doskonale wyglądające. Dla czegóż to? Dla tego, że właściciel ich, czy też dozorca, karmiąc je dobrze, nie przeciążając ich siły przechodzącą pracą, utrzymując je w największéj czystości, obchodzi się z niemi rozumnie i po ludzku, w przekonaniu, że i te stworzenia jakkolwiek pozbawione mowy, zdolne są poczuć wyrządzoną im krzywdę i niesprawiedliwość. *A. S.*

—**Procent.** Jakiś prostoduszny wieśniak amerykański złożył w najbliższym banku sto dollarów, jako depozyt na procent pięć od sta. Z końcem roku zjawił się znowu z pięciu dollarami, które w procencie chciał zapłacić bankowi. Gdy ich nie tylko nie przyjęto, ale przeciwnie, jemu wypłacono z Kassy pięć dollarów, o których mu się ani śniło, wyszedłszy z sali, rzekł do czekającego nań w przedsionku sąsiada: ,,Co to za człowiek, ten kassjer! przez cały rok pilnował moich pieniędzy, i zapłacił mi jeszcze za to pięć dollarów. To jakiś poczciwy urzędnik!!"

Koniec Kwartału 3-go 1870 roku.

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою. — **Redaktor,** Stanisławski Oskar.

Drukiem Jana Psurskiego, ulica Niecała Nr. 12 nowy.